

Biuletyn obywatelski  
BIBLIOTEKA  
UMCS  
LUBLIN

1-28  
CZ. 2552/1977/1

**Z PREZYDENTEM  
ZAMOŚCIA  
JANEM PISKORSKIM**  
rozmawia  
**Maciej Podgórski**



Podcienia we wschodniej pierzei Rynku Wielkiego w Zamościu  
Fot. St. Orłowski

str. 3

## POJEDYNEK

**Opowiadanie  
Krzysztofa Paczuskiego**

str. 11-12

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# Kamena

LUBLIN 9 I 1977 Nr 1 (617)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

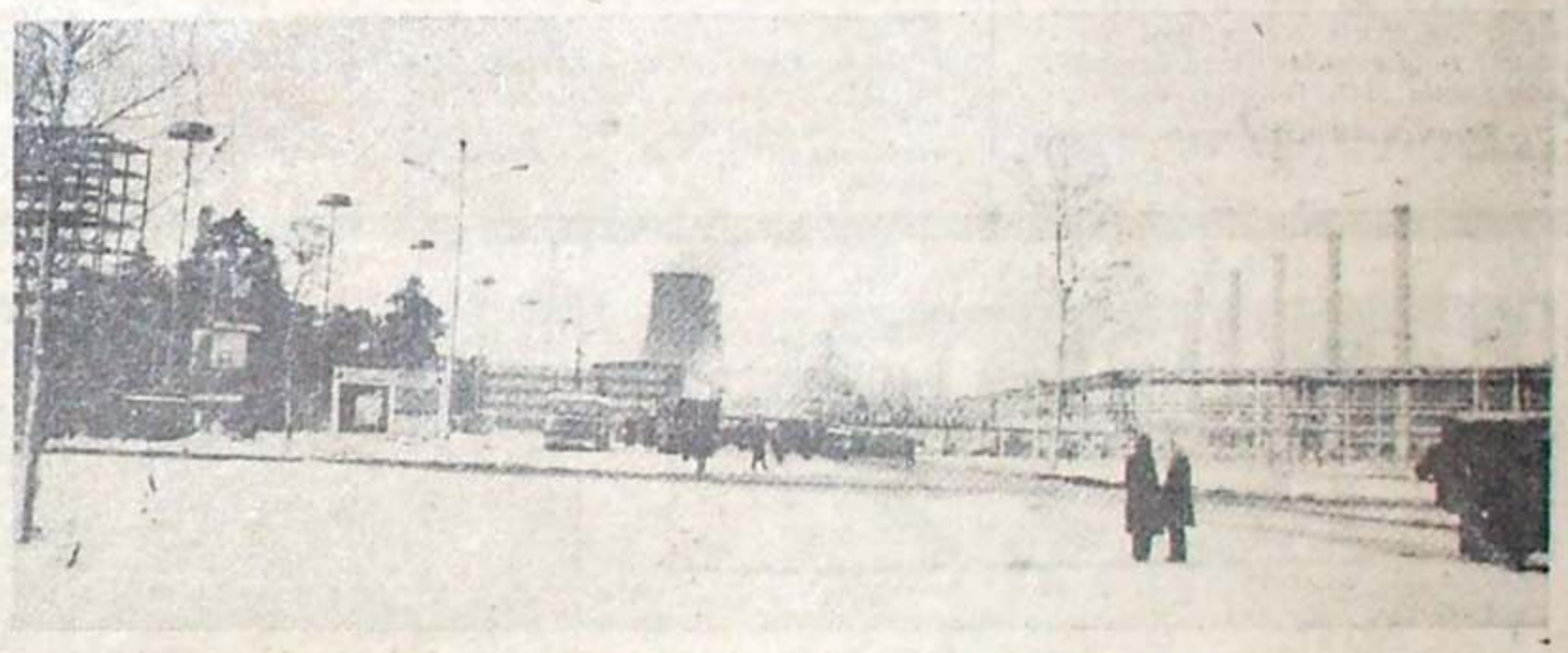
**Tadeusz Jasiński**  
**PROBLEM:  
ALIMENTY**  
str. 7

**ROZMOWA O ŚMIERCI**  
**THANATOS**  
str. 12-13

**Ireneusz J. Kamiński**  
**OFERTA  
I CO MYSLEĆ**  
str. 4-5

## PIERWSZA STAL

Roman Szpala



Ogólny widok budowy Huty Katowice

Fot. J. Sapa

**3** GRUDNIA 1976 ROKU o godzinie 4.20 z wielkiego pieca popłynęły pierwsze tony surówki, a 11 grudnia o godzinie 9.09 w stalowni z konwertora nr 1 pierwsza stal. Od tej chwili Huta Katowice nie jest już tylko największym placem budowy, ale stała się także jednym z największych obiektów, które wyznaczają i mierzą etapy rozwoju naszego kraju. Historia huty rozpoczęła się przed czterema laty, kiedy na dawne nieużytki wjechały pierwsze spychacze i koparki.

Był listopad 1973 roku, kiedy to starszy mistrz budowy, Aleksander Szpetkowski, rozpisywał robotę: „Roboty ziemne. Przenoszenie elementów betonowych. Wykonywanie podsypki z żużlu. Wykonywanie wykopów do 1,5 metra”. W rubryce zaś „Nazwa budowy” i „Adres” pisał: „Huta Katowice ZBKM-u/O/III, Działka nr 1”. Pionierów było wielu. Specjaliści radzieccy przyjechali na samym początku, rozlokowali się w ba-

Dołączenie na str. 6

## Niezwykłe podróże Koleją Nadwiślańską

Mirosław Derecki

**W** CZESNYM latem 1877 r. pan Jakub Goldszmit, dziennikarz i literat współpracownik „Gazety Lubelskiej”, wybrał się dla podratowania zdrowia do wód w Ciechocinku. Swoje wrażenia z owej pod-

róży relacjonował w kolejnych korespondencjach nadsyłanych ekstrapocztą do redakcji pisma. Pierwszym etapem wojażu była Warszawa zawsze śnieżna, wiecznie, jak prawdziwa kokietka uśmiechnięta, do każdego obcego przy-

bysza się wdzięczną i tysiącem rozrywek uciech i rozkoszy wabiącą go w swoje objęcia. Stanąwszy w hotelu zabrał się zaraz pan Jakub do tworzenia pierwszej „Kartki z podróży z Lublina do Cie-

chocinka”, ale nie tyle o Warszawie tym razem pisał, co o drodze, jaką odbył częściowo „osią” czyli konnym dyliżansem, a częściowo, od Iwangrodu (Dę. lina), koleją żelazną! Zachwycał się komfortem jazdy i szybkością pociągu „pocztowego”, ale zarazem skarżył się na niegrzeczność i nieużyteczność obsługi stacji w Iwangrodzie, a także na fatalną jakość potraw w tamtejszej restauracji.

Tę korespondencję musiano czytać w Lublinie z ogromnym zainteresowaniem, jako że zbliżał się termin zakończenia ostatnich robót przy linii kole-

Dalszy ciąg na str. 9-10









# PIERWSZA STAL

Dokończenie ze str. 1

rakach obok przyszłej „drogi stali” i tak towarzyszą powstawaniu huty, dzieląc troski i radości polskiej załogi. Są wybitni w swym fachu i na pewno potrzebni macierzystym zakładom w Związku Radzieckim, ale gdy przyjacielowi trzeba pomóc — nie patrzy się na własne korzyści.

Początkowo wyróżniali się innymi kaskami. Potem była tradycyjna zamiana i dziś nikt się nie domyśli, że młody człowiek w kasku z napisem „Budostal” przyjechał z dalekiego Zdanowa.

Mówili innym językiem, ale na specjalistycznych naradach, gdy padały fachowe terminy, nie trzeba było tłumacza. Gdy spawano konwertor kilka dni i nocy bez przerwy, grupa radzieckich specjalistów — podopiecznych inżyniera Rykowa — doglądała tej operacji. Pochylali się nad zasklepiającą się pod palnikiem szczeliną, a spawacze z bezdzińskiego Mostostalu, patrząc uważnie w ich oczy, w każdym geście szukali potwierdzenia, czy wszystko jest dobrze.

I poszli!

Budowa Huty Katowice pod wieloma względami różni się od dotychczasowych inwestycji. Przede wszystkim organizacją pracy i tempem realizacji, warunkami socjalnymi i bytowymi załogi.

Dawniej na wielkich budowach roboty rozpoczynano od obiektów o charakterze produkcyjnym. Ludzie tonęli w błocie, latami mieszkali w barakach i barakowozach. Tutaj najpierw tworzone zaplecze, dopiero później przystąpiono do realizacji właściwej inwestycji. Preferencje dla zaplecza socjalno-bytowego wyszły niewątpliwie na dobre nowemu kombinatowi i z pewnością staną się wzorem dla wszystkich nowych inwestycji w Polsce. Mam tu na myśli m.in. piękny, o błękitnej elewacji zespół budynków, zakupionych w NRD i zmontowanych w rekordowym tempie kilku mie-



Pierwszy spust surówki

Fot. J. Sapa

sięcy. W obrębie samej huty zbudowano kilkanaście stołówek, każdy wydział będzie miał własną jadalnię. Dla przyszłej załogi buduje się 35-tysięczne osiedle, dające początek nowemu, dużemu miastu. Huta i osiedle, Sosnowiec, Będzin i Dąbrowa Górnicza stworzą nową aglomerację.

Należy dodać, że Huta Katowice jest głównym punktem programu modernizacji i rekonstrukcji całej branży hutniczej. Pozwoli ona na zmniejszenie w miastach Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego emisji zanieczyszczeń powietrza o około 60 tys. ton w ciągu roku. Oczywiście drogą pośrednią. Zlikwidowane bowiem zostaną najbardziej uciążliwe dla otoczenia wydziały surowcowe w starych śląskich hutach, położonych niejednokrotnie w samym centrum miast. Zastosowano tu najnowocześniejsze urządzenia odpylające. System elektrofiltrów oraz wysokie na 300 m kominy powinny uchronić atmosferę przed nadmiernymi zanieczyszczeniami. Poza tym przewidziano takie technologie produkcji, które w maksymalnym stopniu zredukują ilość źródeł powstawania zanieczyszczeń. Naturalnie wszystkie ścieki przejdą przez oczyszczalnię. Hutę otaczać będzie ochronna strefa zieleni o szerokości do paru kilometrów. Zużel wielkopięcowy nie będzie wyrzucany na hałdy, lecz w postaci granulowanej trafi do budownictwa i cementowni.

Drugi etap budowy, opracowany przez projektantów gliwickiego Biprohutu przy współpracy Biprometu, Koksoprojektu, Energonprojektu, Biprostalu, Biprorudu, Hydroprojektu, Politechniki Śląskiej i AGH przewiduje dalszą rozbudowę wydziałów linii stali.

Program mieszkaniowy jest już dość poważnie zaawansowany. Obok osiedli mieszkaniowych i hoteli pracowniczych co roku zbuduje się około 300 domków jednorodzinnych. Ale nie tylko mieszkania składają się na całokształt spraw socjalno-bytowych. Do końca 1978 roku na budowę ośrodków wczasowych przeznaczono 500 mln zł. Rozpoczęto już budowę ośrodka wczasowo-rekreacyjnego w Rogoźniku, wczasowo-rehabilitacyjnych „Orle Gniazdo” w Szczyrku i w Kolobrzegu oraz ośrodka wczasowego w Złociem koło Muszyny. Jeszcze bardziej imponująco przedstawia się ten program w drugim etapie budowy.

Roman Szpala

## Cezary Listowski

### EXODUS

**N**A skalistym, ale nie pozbawionym piasku wybrzeżu morskim, wiecznie niespokojnym i wiecznie mrocznym, przykuci łańcuchami do ścian jaskini tak, że wysunąć z niej mogą tylko głowy, w przemyślny sposób skuci ze sobą, żyją rodzice. Łańcuch córki jest dłuższy na tyle, by mogła, uzależniona jednak od woli śledzących jej każdy krok i wlokących co pewien czas do siebie rodziców, wypelzać codziennie po wyrzucone na brzeg ryby. Jedynie nocami, podczas których zabraniają jej dostępu do swojego ciepłego smrodu, ma możliwość zakosztowania smaku zawsze ograniczonej wolności.

Pewnej księżycowej nocy, kiedy płynie na swej ulubionej, jedynie dostępnej skale i kiedy wyrwani ze snu rodzice ujadają jak zwykle, na wpół bezwiednie przesypuje przez dłoń piasek i przesypuje go jeszcze przez chwilę, mimo iż głosy milkną.

### TEZEUSZ

**-B**ĘDĘ na ciebie czekała — tak brzmiały ostatnie słowa, jakie usłyszał Tezeusz od nieznanego dziewczyny o niepowtarzalnych rysach matki i bezskutecznie pożądanym przez wszystkie lata nieuniknionym dążeniu niezapomnianym ciele koloru dojrzałej oliwki; wiele bliźniaczych lat, podczas których te wierne słowa powtarzały zakłete ściany pałacu daremnie przeczuwanego boga, musiało jednak upłynąć, zanim po raz pierwszy odgadł właściwe ich znaczenie. Zrozumiał wtedy, pełen niewysłowionej goryczy, dlaczego nigdy, mimo iż rozwijał kłębek delikatnej jak przędza pajęcza nici,

nie udało mu się odnaleźć śladu powrotnej drogi, zrozumiał powoli i to, że nie mogło mu się udać jej odnaleźć. Od tej chwili coraz częściej przytłaczał go martwy sen, w którym śnił ciągle zwielokrotnione niczym w nieskończenie pomnożonym zwierciadle nieznane centrum labiryntu, owo niepowtarzalne miejsce, którym, jak nieomylnie przewoźszczał, mogłoby być każde miejsce, do którego prowadziła go rozwijana przez niego nitka.

### ROZWIĄZANIE

**N**IE wiem dokładnie o co chodziło w tym ich konflikcie, przypuszczam, że nie wiedzieli tego nawet sami bezpośrednio zainteresowani, większość wieśniaków była jednak po stronie Urbina, kiedy znany ze swej dumy i porywczosci Nigua postanowił nie ustępować do końca. Nie wiadomo jak zakończyła się ich ostateczna rozgrywka, niewątpliwie bowiem musiało dojść do wiecześnie oczekiwanego rozstrzygnięcia, gdy pewnego poranka obaj domniemani przeciwnicy odjechali bezpowrotnie w stronę nieogarniętych piasków południowej pustyni. Długo jeszcze nie ustawały spory rozpalające wieśniaków do czerwoności ich nieposkromionej krwi, ale dopiero teraz, kiedy nieomal niemożliwe wydaje się odnalezienie niepodważalnie sprawdzalnego rozwiązania, zdecydowałem się wyjawić niezmiennie powracający motyw, jedyne, jakie wysniłem podczas tysięcy bezsennych nocy wyjaśnienie tej nieustannie fascynującej zagadki.

Przez rozprażone piaski pustyni, przeglądając się ciągle w stężonym powietrzu, jedzie człowiek w rozwiartym płaszczu, w czarnym hiszpańskim kapeluszu, ale być może także w wiadomym meloniku, jedzie tu, być może po to, aby przynieść tylko wyostrzoną jak kontur swojego konia rękę.

## NIKT

**P**O raz pierwszy widziałem tego zagadkowego mężczyznę, chociaż być może wydawało mi się tylko, że go widziałem jednego z tych niewielu rozleniwionych wieczorów, podczas których zwykle pragnienia gasną niczym nie dogonione sny, a powietrze przesycone jest spokojem szlachetnie miękkiej rezygnacji, kiedy siedział na ławce przed naszą niewielką świątynią tak, jak gdyby nigdy tego miejsca nie opuszczał,

nie jednak nie wskazywało na to, aby akurat tym razem mogło mu się udać nie odchodzić.

Zasłużoną sprawiedliwość należy oddać niepodważalnej mądrości odwiecznie czcigodnego Alkinoosa za to, że nie usiłował zatrzymywać wędrowca, którego niepokojące słowa wypowiedane śpiwnie w nikomu nie znanym języku cztery kolejne noce towarzyszyły naszym zwykle pogodnym ucztom — i dalej wiódł nieprzenikniony mężczyzna przez pustynię koloru cegły, nadal nie wiadomo jednak, czy jest nim Odyseusz.



rs. E. Ingłot



**K**ILKUTYSIĘCZNE miasto na Pogórzu między Gorlicami a Jasłem — miasto zwane „Małym Krakowem” — nie poddaje się łatwo opisowi. Biecz — dawna siedziba kasztelania, ma perspektywę historyczną sięgającą w głąb średniowiecza, wspaniałe zachowaną architekturę ze sławnym gotykiem trzynastowiecznej fary, rynek z mieszczanскими kamieniczkami i silnie zaakcentowanym ratuszem. Całe miasto jest zabytkiem klasy „0”. Tranzytem wiele osób przejeżdża tędy do Krynicy, Krosna czy Jasła, kierując docelowo swoją uwagę również na Biecz. Jest to miasto, gdzie aluzje i fakty historyczne spotyka się co krok, niesprawiedliwie przesłonięte nie potwierdzonym naukowo faktem o istnieniu tu „szkoły katów”, której absolwenci z wyjątkową biegłością mieli wykonywać swoje rzemiosło.

Ocalonym szczęśliwie miastem interesowano się życzliwie już niemal od pierwszych, powojennych dni. W kwietniu 1945 roku zarząd miasta zwrócił się do Wydziału Kultury i Sztuki w Gorlicach o subwencję na zabezpieczenie zabytków. Mecenat państwa sprzężony z działaniem ludzi, rozumiejących wartość miasta, spowodowały dobrą opiekę konserwatorską, skutkiem czego nic tu nie zostało wadliwie rozbudowane, przybudowane, zburzone.

Mężem opatrnościowym Biecza jest dr Tadeusz Sławski, organizator i kustosz Muzeum Bieckiego, autor licznych publikacji poświęconych dziejom miasta, świetny tych dziejów popularyzator.

Biecz jest miejscem naukowych zainteresowań historyków, historyków sztuki, historyków literatury, muzyki. Jest również silnym ośrodkiem artystycznej inspiracji malarzkiej, o czym świadczą związki artystyczne z Bieczem Jana Matejki i Stanisława Wyspiańskiego.

Systematyczne gromadzenie wiedzy o Bieczu miało swój początek przed II wojną światową, kiedy zawiązało się Towarzystwo Przyjaciół Biecza, która to funkcję przejęło po wojnie Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. Powstało też Towarzystwo Przyjaciół Gorlic, które miało swoje odpowiedniki w innych miastach, także w Bieczu. Na początku lat pięćdziesiątych zorganizowano muzeum, które dr Sławski przez dziesięć lat prowadził społecznie.

Dzieje miasta mają bardzo dobrze zachowaną dokumentację historyczną w księgach grodzkich i księgach ziemskich, wójtowskich, lawniczych i sądowniczych. Księga przeciw do prawa miejskiego (1538—1688), zachowana w oryginale na Wawelu, najstarsza w Polsce księga sądownicza z końca XIV wieku, dotyczy również Biecza. Z tych dokumentów, zdeponowanych głównie w Krakowie, korzysta wielu historyków.

W okresie międzywojennym ukazała się książka „Biecz i dawna Ziemia Biecka — na tle swych legend, bajek, przesądów i zwyczajów” autorstwa miejscowego farmaceuty, mgr. Witolda Fuska, tłocz-

na nakładem autora w drukarni Stanisława Kuźniarskiego w Jasle. To tu znajdujemy wzmiankę, że w 1616 roku miasto otrzymało prawo miecza i zaraz ścięli 114 zbójów.

Najsilniej z tradycją miasta związane jest nazwisko Marcina Kromera, biskupa warmińskiego, sekretarza trzech królów, historyka, geografa, dyplomaty i pisarza, który tu się urodził. Mało kto wie, że Kromer jest autorem powieści „Historia prawdziwa o przygodzie żalostnej księżki finlandzkiego Jana i królowej polskiej Katarzyny” i że był on także teoretykiem muzyki, co znalazło swój wyraz w pracy „Musical-cale Elementa”, opublikowanej w ubiegłym roku przez Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk.

W Bieczu mieszkał Jan Januszowicz — jeden z wybitniejszych siedemnastowiecznych poetów nurtu plebejskiego. Ale nie tylko on. Oto na jednym z budynków niedaleko

fialna, która w XV wieku dostarczyła 40 studentów Akademii Krakowskiej, a w dobie renesansu — 112. Dlatego mogli stąd wyjść znakomici historycy, filozofowie, matematycy i prawnicy. Z miasta, które zajmując się przede wszystkim sukiennictwem, płóciennictwem i handlem (handlowano na szeroką skalę winem z Węgrami, czego ubocznym skutkiem było rozbójnictwo, z którym w mieście nie można sobie było poradzić i tym tłumaczy się zbyt gorliwe korzystanie z prawa miecza), wyszli ludzie wybitni, wspomagający zdolnych ziomeków może nie tyle protekcją, co pomocą. Biskup Kromer ufundował stypendium dla dwu studentów z Biecza, z zastrzeżeniem, by po ukończeniu studiów pracowali w rodzinnym mieście. Myśl tę kontynuował profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, ks. Jan Bochniewicz rodem z Biecza, a pod koniec ubieg-

niejszych zdarzeń, faktów i pamiątek, dających tytuł do chwaly. Biecz, który już w XII wieku był siedzibą kasztelania, centrum życia gospodarczego i politycznego dużej części Podkarpacia, pełnił bardzo ważną funkcję obronną, a świadczą o tym grodzie warownym do dziś zachowane fragmenty murów obronnych, z odkopanym zarysem barbakanu.

Dla wyjaśnienia sprawy powołałam się na autorytet dr. Tadeusza Sławskiego i zacytuje fragment jego pracy wyjaśniającej to zagadnienie:

Z tytułu swej funkcji obronnej Biecz zobowiązany był tępić wszelkie przejawy bezprawia na podległym sobie terytorium. Prawdziwym utrapieniem bieckich władz starościńskich i miejskich było szerzące się w zastraszający sposób na pograniczu polsko-węgierskim beskidnictwo (rozbójnictwo). Ze zjawiskiem tym spotykamy się już w XIV w. Wśród beskidników znajdowali się różni ludzie zamieszkujący tereny pograniczne polsko-węgierskie. W większości wywodzili się oni z warstwy chłopskiej. Spotyka się wśród nich komorników, zagrodników, parobków, a nawet kmieci i rzemieślników. Jedni z nich szukali w rzemiosle rozbójniczym lekkiego życia i przygód, inni natomiast, ciemiężeni przez feudałów — zbiegali i zasilali szeregi beskidnickie. Byli oni bardzo często inspiratorami napadów na dwór swojego byłego pana.

Beskidnictwo przybierało stale na sile. Nad jego likwidacją radzono stale na sejmikach i na sejmach. Na jednym z sejmów powołano nawet specjalny oddział herników, których zadaniem było likwidowanie beskidników. Biecz posiadał prawo miecza — czyli prawo skazywania i wykonywania wyroków śmierci. Toteż w czasie wzmożonej akcji przeciw beskidnikom masowo ich wylapywano i sądzono w Bieczu. Wyroki ogłaszane zbójnikom były nadzwyczaj surowe. Niesłychanie rzadko obeszło się bez kary śmierci. Zgon poprzedzała zazwyczaj męka. Dekretowano ich na darcie trzech, bądź czterech pasów skóry, wieszano za żebro, później ćwiartowano, a głowę ubijano na pał przed bramą miejską innym ku przestrodze.

„Kat biecki obsługiwał także okoliczne miasta. Według bieckiej księgi rachunków z 1540 r. miasto wypożyczało kata za onlata do Jasła, Rymanowa, Dukli, Zmigrodu, Pilzna, Ropczyc, Rzeszowa i Wojnicz. Wynikało to stąd, że mniejsze miasta wydawały wyroki śmierci, lecz nie posiadały prawa miecza. Nie znalazła natomiast żadnego potwierdzenia w źródłach legenda o szkole katów w Bieczu. Kat bowiem był rzemieślnikiem, a trudno się dopatrywać w tym czasie szkół poszczególnych rzemiosł, a tym samym i szkoły katów.

Dzisiaj rozbudowę miasta lokuje się poza jego historycznymi granicami. Ale wciąż jest ono przykładem konsekwentnej dbałości o wszystko, co na tym małym skrawku zabudowanej zabytkami ziemi nawarstwiła historia.

## SZKOŁY KATÓW TU NIE BYŁO...

Zofia Dubiewicz

od dawnego szpitala fundacji królowej Jadwigi (unikalnej budowli gotyckiej o przeznaczeniu świeckim) — pamiątkowa tablica głosi: W tym okazałym kiedyś centrum grodzowym w latach 1667—1674 administrował powiatem bieckim jako podstaroście pełniąc zarazem urząd sędziego grodzkiego — najwybitniejszy poeta polski XVII wieku — zasłużony w walce z anarchią szlachecką w Rzeczypospolitej, obrońca tych, którzy żywią, bronią i strzegą — Wacław Potocki, urodzony w 1621 — zmarły w 1696 r.

Wielki batalista Jan Matejko szkicował stare domy w Bieczu, a Stanisław Wyspiański projektował witraże dla miejscowej fary. I chociaż przedsięwzięcie nie zostało doprowadzone do szczęśliwego końca, bo witraży tych w Bieczu nie ma — powstanie „Kłatwy” Wyspiańskiego wyprowadza się z bieckiej legendy, stanowiącej źródło inspiracji dla napisania tego dramatu.

Ciekawie Biecz bronił swojej królewskiej miejskości, ambitnie tu dbano o rozwój szkolnictwa. Przypomne, że w drugiej połowie XIV w. istniała w Bieczu szkoła para-

lego stulecia bieczanin — Józef Tumidajski — również był fundatorem stałego stypendium dla studentów. Fundacja Bochniewicza, przeznaczona też na rozwój miasta i rzemiosła, przetrwała do 1958 roku.

W tym mieście, królewskości i nobliwosci łatwo przemieszałyby się z nurtem plebejskiej swobody, gdyby temu nie stawiano przeszkód. W statucie sukienników bieckich z 1452 roku czytamy:

Zaden czeładnik nie powinien częstować piwem cechowym, gdy pije w gospodzie, żadnej podejrzanej kobiety, mianowicie z domu publicznego, pod karą pół grosza. Zaden z nich nie powinien grać w jakąkolwiek grę ani z mistrzem ani z uczącym się rzemiosła, ani jeden z drugim brać udziału, ani z jakąś podejrzaną osobą pod karą pół grosza. Ktokolwiek z nich chodziłby boszymi nogami po ulicach lub po rynku — popadnie w karę pół grosza.

Czytelnikowi należy się wyjaśnienie sprawy „szkoły katów”, której rzekomy istnieniem rozślawia się Biecz niesłusznie — choćby z tego względu, że jest tu wiele znac-

**Stanisław Skarbek**

**dialog**

— Proszę pana, czy pan może pokazać tę drogę?

— Tak;

z różańcem pagórków idzie się przez pole i w mrówczym trudzie jak w todzie uznania zanurzyć w zieleń jak w chrzcielnicy zimnej





Rys. E. Ingłot

**Janusz Styczeń**

## wspomnienie otwarte i zdarzone

zdarzyło się to bardzo dawno  
stałem przed otwartym oknem  
a otworzyłem to okno w ćwiczebnym śnie  
zobaczyłem kwiat biegnący w dziwnym kierunku  
udało mi się pocałować biegnący kwiat  
i kwiat wybuchł muzyką dziecinną  
tak jakby jedna dziewczynka całowała drugą w rękę  
dziecinna muzyka uniosła mnie razem z kwiatem  
przez oceany powietrzne za idylliczną wiosną

i moje słowa wybuchły wiosną  
moich słów było tak dużo  
że sam stałem się zamysłem nasyconym: kwiatem  
moje spojrzenie było jak dotknięcie  
z lejącego się z góry świetlistego chaosu nieba  
tworzyłem doskonale biele szczęście  
ujawnione z biegnącego kwiatu dziecinna muzyka  
szepotały: — rośniemy ciszą —  
biegnący kwiat był moim widzeniem prawidłowym skojarzeniem  
prostym gestem wreszcie mną  
przez moje oczy oceany powietrzne mijaly jak noce i dnie  
nad wyobraźnią zupełnie w górze biło moje serce

i znowu budzi mnie z ciągle cytowanego dzieciństwa  
Nieznajomy i patrzy mi długo w oczy  
okno jest zamknięte ja mam ciało wtórne do swojej sztuki  
zdejmuje zegarek i podaje Nieznajomemu  
a On jak zawsze przykłada mój zegarek sobie do ucha  
i jak zawsze pytam Go: — czy wieczność ma poczucie humoru? →

gdzie przed własnym credo trzeba zdjąć  
koszulę  
pod pręgierz słońca skuć ręce i ziemię  
rolnika co orze co sieje i zbiera

— Proszę pana, czy daleko jeszcze?  
— Nie;

tuż za progiem rzeka i ona przywiera  
do gołego ciała wystarczy z brzegów  
zdjąć poranną mgielkę a w pościel  
ciszy wejdiesz jak w kazanie  
w przepelnionym kościele gdzie tylko  
księdza słycać i sterców chrząkanie

— Proszę Pana to tutaj — czy Pan tu zostaje?

# Niezwykłe podróże Koleją Nadwiślańską

Dalszy ciąg ze str. 1

jowej łączącej Lublin z Warszawą. Senne i ciche miasto miało wkroczyć w zupełnie nowy rozdział w swojej historii, stać się jednym z głównych ogniw Kolei Nadwiślańskiej, biegnącej z Mławy przez Warszawę, Lublin i Chełm do Kowla.

Lublin czekał zresztą na połączenie kolejowe już od lat piętnastu. Jeszcze w 1862 r. pojawili się tutaj inżynierowie dokonujący pomiarów pod przyszłe tory i pod stację. Prywatne przedsiębiorstwo budowy kolei przewidywało przeprowadzenie torów od północnej strony Lublina i zlokalizowanie dworca w dzielnicy Czwartek. Wywołało to sprzeciw Rady Miejskiej, która uważała takie rozwiązanie za niewygodne dla miasta. Postanowiono opracować własną koncepcję, stawiając na czele specjalnej komisji byłego lubelskiego inżyniera gubernialnego, Feliksa Łodzia-Bieczyńskiego. Bieczyński — pisze autor wspomnień o nim — energicznie zabrał się do roboty, niwelował, mierzył, obliczał koszty, wertował akta miejskie i ostatecznie sprawozdanie swoje dla rady miejskiej sporządził.

Bieczyński uważał, że linia kolejowa powinna być przeprowadzona po prawej stronie Bystrzycy, a dworzec zbudowany w rejonie Bronowie. Rada Miejska w pełni zaakceptowała jego projekt, ale tymczasem wybuchło powstanie styczniowe i realizacja budowy kolei odwlokła się o lat kilkanaście. Kiedy wreszcie sprawa znów stała się aktualna, budowniczowie przyjęli ogólne założenia Bieczyńskiego, z tym jednak, że stację kolejową umiejscowiono na przedmieściu Piasek, to znaczy tam gdzie dzisiaj znajduje się dworzec. Nawiasem mówiąc, jeszcze na początku 1875 r., tuż przed ostatecznym zatwierdzeniem lokalizacji, „grupa obywateli lubelskich” zwróciła się do gubernatora w Warszawie z pisemną petycją o ponowne „kaskawe rozważenie” sprawy budowy stacji od strony Lubartowa.

W dniu 10 sierpnia (1875 r.) na przedmieściu Piasek w Lublinie panował ożywiony ruch — pisze Henryk Gawarecki w książce „O dawnym Lublinie” — Oto przedsiębiorcy prywatni — panowie Guozdiew i Zurawlew — rozpoczęli roboty ziemne. Przeszło 200 robotników sprowadzonych z guberni kałuskiej i zakwaterowanych w mieście popisywało się, wobec licznie zgromadzonych lublinian, zręcznością i siłą w prowadzeniu niezwyklej rozmiarów prac ziemnych budowę mostów, przepustów, dworców, budynków, i urządzeń stacyjnych. W początkach 1877 roku prace były już bardzo zaawansowane.

I oto późnym wieczorem 6 sierpnia 1877 r. na stację kolejową w Lublinie wjechał pierwszy pociąg próbny, wiozący komisję kolejową kontrolującą sprawność techniczną zbudowanej linii. Wieść o mającym nastąpić przybyciu pociągu obiegła lotem błyskawicy całe miasto. Tłum ruszył w stronę przedmieścia Piasek i wkrótce przed stacją zebrało się kilka tysięcy osób. Biorąc pod uwagę, że ówczesny Lublin liczył ok. 21 tysięcy mieszkańców, był to niemal exodus lublinian w kierunku nadciągającej „rewolucji technicznej”. Ówczesny „Kurier Lubelski” opisuje tamte godziny w sposób równie wyrazisty co dramatyczny: *Tłoczono się ze wszystkich stron, przeciskano najszczuplejszymi szparami, aby tylko zobaczyć... latarnie (...). Poważni mężowie i podeszłe matrony przeskakiwali w jednym skoku sztachety, buńczuczna młodzież z odwagą godną lepszej sprawy stawiała czoło niebezpieczeństwu dostania się na platformę. Nareszcie o godzinie 9 oświetlony trzema kolorowymi latarniami nadszedł pociąg wiozący komisję odbiorczą... finita la comedia.*

Każdy dzień sprawiał teraz jakąś niespodziankę. Gazety przynosiły opisy podróży pierwszych wybrańców losu, którzy wkręcili się do pociągów próbnych, przekazywano z ust do ust opo-

wieści o mrozących krew w żyłach wypadkach kolejowych, jakie podobno mnożyły się na trasie. W ichym dotąd miasteczku gospodarowali robotnicy, ludzie w mundurach kolejowych, panowie inżynierowie z sumiastymi wąsami, ze wszystkich stron ciągnęły bryki wiozące obywateli ziemskich przybywających w celu obejrzenia kolei, przepytania się o możliwości transportu i o ceny wielu produktów, które zaczęły iść w górę. Z wypiekami na policzkach czytano w „Kurjerze” rewelacyjny „reportaż” o jeździe pociągiem z Warszawy do Lublina: *Pociąg wyruszył ku Lublinowi o godz. 10 min. 24 rano. Droga w ogóle dobrze się przedstawia i budzi w jadących otuchę. Smętne tylko myśli naprowadza mimowolnie głód, stały towarzyszy podróży od Warszawy aż do samego Lublina (...). Pani jakaś lecząca się mineralnymi wodami przez całą drogę literalnie nic nie mogła dostać do jedzenia. Inni mniej więcej obficie używali gruszek... Zbliżając się do Iwanogrodu pociąg (...) najechał na konny wagonik, lecz przy wolnej jeździe i przytomności obsługi nikt nie poniósł żadnej szkody (...). Od Nowej Aleksandry (Puław) okolica jest prześliczna i w zupełności zasługuje na udzielaną jej nazwę Szwajcaryi Lubelskiej. Lublin widoczny z drogi żelaznej tak jest malowniczy, że przychodzi ochota... oprawić go w ramki.*

Opowieść o pociągach pędzących z zawrotną szybkością 35 wiorst (37,3 km) na godzinę i przebywających odległość z Lublina do Warszawy zaledwie w 7 godzin, wyzwały wśród lublinian przemożną chęć zaznania wielkiej przygody. Toteż kiedy w połowie sierpnia rozeszła się wieść, że tego a tego dnia, ze względów reklamowych, każdy kto chce, przejedzie się za darmo pociągiem próbnym do Warszawy i z powrotem — chętnych nie brakowało. Skandal wybuchł w Iwanogrodzie (Dęblinie) gdzie kształo kształo wszystkim wysiadać. Pociąg miał jechać dalej pusty, o pociągu do Lublina nikt nic nie wiedział, a w dodatku służba stacyjna oświadczyła, że trzeba będzie na trasę z Dębina do Lublina wykupować bilety. Tumult i wrzawa zrobiły się wówczas okropne, bo większość pasażerów nie miała przy sobie pieniędzy. W końcu jakoś sprawę załatwiono, ale przez kilka następnych dni prasa lubelska rozpisывała się na temat tego skandalu.

Inna dramatyczna przygoda spotkała lubelskich spacerowiczów, którzy — kształtując się właśnie zwyczajem — podążali wieczorem na spacer w kierunku dworca kolejowego, aby przyjrzeć się manewrującym na torach lokomotywom, przekładaniu zwrotnic, zapalaniu świateł na semaforach i temu podobnym niezwykłym atrakcyjnym. Pociąg złożony z 4 wagonów osobowych przybył o godzinie zapowiedzianej i miano się już udać do domów, gdy nagle przy dworcu lunął deszcz obfity, nad miastem zaś przeciągnęli, bezustannie prawie błyskawicami świecila chmura i grzmiała rykiem rozgromionego żywiołu. Zdało się, że całe miasto ze swymi wieżycami, kopułami, gromadą domów i wiankiem sadów — pisała obrazowo „Gazeta Lubelska” — zczerniało nagle, lub zniknęło w nieprzejrzany tumanie. Zaskoczona poza domem publiczność, skryła się do dworca i tam deszcz przeczekala.

Mimo tej niespodzianie silnej burzy, która poczyniła bardzo znaczne szkody w mieście i okolicy, termin otwarcia regularnego połączenia kolejowego Lublina z Warszawą został zachowany, a właściwie pociągi ruszyły dzień wcześniej, 29 sierpnia 1877 roku. Tego dnia Lublin wkroczył w nowy okres swoich dziejów.

Na liczącej 433 wiorsty trasie z Mławy do Kowla kursowały codziennie w każdą stronę dwa pociągi osobowe, cztery towarowe i dwa wojsko-

Dokończenie na str. 10

Kamena str. 9

# Niezwykłe podróże Koleją Nadwiślańską

Dokończenie ze str. 9

we. Pociąg osobowy, zwany też „pocztowym”, wyruszał z Mławy o godz. 9,23 i w Warszawie był o godz. 13,18. Tutaj „odpoczywał” prawie dwie i pół godziny, mknął następnie do Lublina, gdzie przybywał przed godz. 21,00 aby stanąć wreszcie w Kowlu o 2,28 w nocy. Z Lublina do Warszawy pociąg pocztowy wyruszał o 8,36 rano, a na Pradze był o 13,56. Drugi pociąg, osobowo-towarowy, wyjeżdżał z Warszawy o 23,03, a z Lublina o 22,27, aby stanąć na Pradze o godz. 5,33 rano. Za miejsca w wagonie I klasy płacono się do Warszawy 5 rubli srebrnych i 11 kopiejek, w wagonie II klasy — 3 ruble i 67 kopiejek, trzecia klasa kosztowała już tylko 2 ruble i 4 kopiejki. Za przewóz bryczek lub powozów, zajmujących połowę lub więcej platformy, płacono się w pociągu pośpiesznym po 16 kopiejek za wiorstę, a w pociągu osobowo-towarowym tylko połowę tej sumy.

Bardzo ostry był regulamin obowiązujący podróżnych: *Pijanych, na żądanie pozostałych pasażerów, wysadzają na pierwszej stacji, przed którą ich zauważono, bez zwrotu należności za resztę drogi. W wagonach i przedziałach przeznaczonych dla niepalących nie wolno palić tytoniu nawet przy ogólnym na to zgodzeniu się podróżnych.* Ten przepis zachował się niezmiennie do dzisiejszych czasów. I wreszcie w damskich przedziałach mężczyźni pod żadnym pozorem znajdować się nie mogą. Naczelnikiem stacji Lublin był wówczas (1878 r.) Strokowski, zaś naczelnikiem „dystansu”, czyli zapewne odcinka kolejowego — niejaki Mikulski.

Pierwszy pociąg osobowy z Warszawy do Lublina miał pecha: pod Wawrem obruszył się nasymp kolejowy, co spowodowało wypadnięcie lokomotywy z szyn. Zanim dano znać do Dębli-  
na, skąd wyjechał specjalny pociąg, który zabrał pasażerów i towary, minęło wiele godzin i ostatecznie podróżni przybyli do Lublina nie na 20,00 — jak przewidywał rozkład — ale o kwadrans na trzecią z rana. Mimo że reperacja torów pod Wawrem ciągnęła się przez kilka dni, ruch na trasie był kontynuowany, a frekwencja podróżnych dobra. (Pierwszego dnia kasa kolei sprzedała biletów za 400 rubli).

Nowa linia kolejowa i jej obsługa musiały się dopiero „dotrzeć”, musiała się również przyzwyczaić do kolei — i nauczyć ostrożności — okoliczna ludność. Nic przeto dziwnego, że w pierwszych miesiącach mnożyły się jeszcze wypadki, czasami zabawne, a czasami tragiczne. Na przykład na most kolejowy na rzeczce Czerniejówce wpadły któregoś dnia „rozbiegane” mierzynki ciągnące kolaskę i o włos nie zostały przejechane przez pociąg. Na szczęście maszynista ostrzeżony krzykiem przeciwników (!) zdążył w odpowiednim momencie włączyć hamulce. Tragiczny wypadek zdarzył się 25 września w Chełmie, gdzie przejechany został przez lokomotywę wykonującą manewry starszy zwrotniczy Wojciech Szalaj. W pewien czas później pociąg jadący z Kowla do Lublina zabił między Minkowicami a Trawnikiem idącego torami 60-letniego Grzegorza Bosego. Starzec, jak się później wyjaśniło, zupełnie głuchy, nie zareagował na sygnały dawane przez maszynistę.

Natomiast o swoistej „dzikości” terenów, przez które przeprowadzono linię kolejową — może świadczyć następująca notatka w prasie lubelskiej z 18 grudnia 1877 r.: *W okolicy drogi Nadwiślańskiej pomiędzy Rejowcem a Chełmem tak się rozmnożyły wilki, że dróżnicy w obawie ich napaści nie chcą służby pełnić nocną porą i proszą o uwolnienie ich od służby (...)* Zarząd drogi skomunikował się z władzami administracyjnymi i wkrótce zapewne zarządną będzie oblawa.

Tymczasem w samym Lublinie dzięki kolei wznoszono nowe budynki, rozbudowywały się istniejące hotele. Od hotelu „Victoria” do dworca kolejowego kursował konny omnibus, liczba dorozek z kilku wzrosła do 75, drogę do dworca wysadzono drzewami i ustawiono przy niej 14 latarni. Porządkowano zaniedbane skwery i parki. Przede wszystkim zaś przedstawiono Radzie Miejskiej do zatwierdzenia projekt założenia w Lublinie oświetlenia gazowego. W ciągu następnych dwudziestu lat liczba ludności miała się podwoić i przekroczyć liczbę 50 tysięcy.

Mimo to przybyłemu z Warszawy specjalnemu wysłannikowi „Kurierza Codziennego”, znanemu dziennikarzowi i pisarzowi Wiktorowi Gomulickiemu, który pisał wielki reportaż o Kolei Nadwiślańskiej — Lublin nie przypadł do gustu. Zresztą Gomulicki, którego cechował cięty język, „przejechał się” po całej Kolei i w sposób dosłowny i w przenośni: już warszawski dworzec na Pradze wykpił pisząc, że przypomina on trochę chińską pagodę, trochę indyjską świątynię, a najbardziej słynny „pałacyk mały” w Paryżu. Po drodze dostało się Iwangrodowi za fatalny bufet i niegrzeczną obsługę, wreszcie został skrytykowany dworzec lubelski za zbyt małą pojemność. Natomiast nie miał racji Gomulicki gromiąc Lublin za ślepe naśladownictwo Warszawy, co miało się wyrazić posiadaniem przez Lublin Ogrodu Saskiego, hoteli: — „Angielskiego” i „Europejskiego” i wreszcie ... cukierni Semadeniego. Możliwe, że była to brzydka zemsta dziennikarza za fakt zakłócenia mu w hotelu spokoju nocnego przez jakąś lubliniankę z naprzeciwnika, która występowała bez końca romans Koczubeja: „Powiedźcie mu”. W związku z tym Gomulicki ułożył i opublikował na łamach swojej gazety parafrazę romansu:

Powiedzcie mu, że widział  
sławne miasto,  
W którym jest wszystko, co  
Warszawa ma:  
Gazety dwie, niedopieczone  
ciasto,  
Kolej żelazna i błagierów ćma.  
Stąd na świat wyszli, prócz  
Ochorowicza,  
Junosza Klemens i Bolesław  
Prus —  
Więc niech mu Allah długich  
dni używa  
I niech mu szczęścia ześle cały...  
wóz.

Rankiem następnego dnia redaktor Gomulicki udawał się w dalszą podróż, do Kowla. W owym czasie odejście pociągu sygnalizowano trzema kolejnymi dzwonekami, a przyjazd — głosem trąbki. Warszawski dziennikarz stał na peronie wmieszany w tłum prowincjonalnych pasażerów. *Odezwała się trąbka — pociąg nadchodził. — Trąbka, nie przymierzając jak na psy! — rzekł do mnie jakiś kapotowy pasażer.*

Tęgo rodzaju powiedzenia i reakcje kolejowej publiczności miały wkrótce zniknąć na zawsze. Teraz były charakterystycznym przykładem ścierania się nowego ze starym, rewolucyjnych zmian, jakie niósł za sobą wkraczający do Lublina — z pewnym wprawdzie opóźnieniem — wiek pary i żelaza.

91 lat później, 9 listopada 1968 r. o godz. 11.50 miał wjechać na lubelski dworzec pierwszy pociąg elektryczny z Warszawy. Była to kolejna rewolucja na tej trasie, znacznie skracająca podróż z Lublina do Warszawy. Wszak słynny pociąg osobowy „nocny” pokonywał dotąd tę odległość prawie w 5 godzin, co nie różniło go aż tak bardzo od pierwszych pociągów Kolei Nadwiślańskiej...

I tyle z okazji zbliżającej się 100 rocznicy kolejowego połączenia Lublina z Warszawą.

Mirosław Derecki



z ówczesnego austriackiego społeczeństwa, rzekomo zamkniętego w artystycznej „wieży z kości słoniowej” pięknoducha, czy też może zdołały w nich przetrwać do dziś nieprzemijające i wiecznie aktualne treści

Interesujący jest ścisły związek bezsprzecznie oryginalnej twórczości Rilkego z jego specyficznym stylem życia, które nawet jak w owe czasy, jak to zgodnie podkreślają krytycy, przebiegało na granicy możliwości rzeczywistości. Wszelkie próby ambitnych rodziców z austriackiego środowiska urzędniczego w Pradze zapewnienia synowi przyzwoitej i intratnej kariery oficerskiej, spełży na niczym. Pięć lat pobytu w szkole wojskowej, którą młody Rilke opuścił wyczerpany na ciele i duchu, stały się dlań kosztownym wspomnieniem, nekającym we śnie do końca życia. Dwudziestoletni Rainer zdał eksternistyczny egzamin maturalny w 1895 r.

## ORFEUSZ

**R**EPREZENTANT obumierającej kultury mieszczańskiej, „wielki schyłkowiec”, piewca egzystencjalnego niepokoju — wszystkie te określenia, jakkolwiek słuszne, nie są w stanie ukazać całej prawdy o niepowtarzalnym w kulturze europejskiej zjawisku, któremu na imię Rainer Maria Rilke. Nieomal w setną rocznicę urodzin i w pięćdziesiątą rocznicę śmierci poety warto pochylić się chociażby na chwilę nad jego liryką, fascynującą w przekładach Witolda Hulewicza, Mieczysława Jastruna i Juliana Przybysia kilka już pokoleń czytelników polskich.

Miłośników poezji Rilkego nurtuje od dawna istotne i zasadnicze pytanie, czy niełatwe przecież a nawet celowe, rzec by można „zagmentwane” i wyrafinowane utwory świadczą obecnie jedynie o dekadentckiej postawie wyalienowanego

i przez kilka lat studiuje literaturę, sztukę i historię prawa na uniwersytetach w Pradze, Monachium i w Berlinie. Na ten okres przypadają również usiłowania młodego poety włączenia się swymi utworami w spokojny, poprawny nurt mieszczańskiej literatury. Jeżeli nawet przyjmujemy, że próby te były przez samego Rilkego na owym etapie traktowane najzupełniej poważnie, to trzeba podkreślić, iż o tyle silniejsze — siłą kontrastu — stały się jego późniejsze awersje do wygodnej, „grzecznej” egzystencji typowo mieszczańskiego pisarza. Wręcz mierz go, jak to określa, *robienie pieniędzy przy pomocy pióra*. Rilke nie potrafił się również zmieścić w klasycznym modelu rodziny. Jego małżeństwo z utalentowaną uczennicą Rodina, rzeźbiarką Klarą Westhoff, rozpadło się właściwie jedynie dlatego, że związek ten, zdaniem poety, zagrażałby autonomii osobowości twórczej obojga

## Aleksander Rozenfeld

\* \* \*

święty rafale patronie nawiedzonych  
święty tadeuszu który mieszkaś niedaleko mnie  
święty zygmuncie znający na pamięć wieszczów  
gdy tak idę z wami pod rękę  
najpiękniejszą ulicą świata krakowskim przedmieściem  
to w takiej chwili pani poezja idzie razem z nami  
i żaden umundurowany przedstawiciel władzy  
nie ma do nas dostępu  
choćby na kilometr czuć nas było  
denaturatem wodą brzożową czy też  
najpospolitszym destylatem zwanym czystą wyborową  
idziemy tak do nas należy ulica miasto kraj naród  
kochamy wszystkich gotowi jesteśmy zawrzeć  
pakt z samym diabłem a nawet  
z sekretarzem redakcji popularnego dziennika  
gdy tak idziemy odwzajemniając uśmiechy przechodniów  
to w takiej chwili poezja jest z nami  
i nie ma nic bardziej ważnego ponad jej istnienie  
nawet gdyby następnego dnia miała mnie boleć głowa  
nawet gdyby własna żona nie wpuściła mnie do domu  
to przecież ta nasza wspólna wędrówka  
poprzez cmentarze naszych snów  
poprzez drwinę gawiedzi  
ma nadrzędną wartość transcendencji  
i gdy mnie pytają co jest poezja odpowiadam  
spacer ze świętymi pod rękę któregoś jesiennego dnia  
krakowskim przedmieściem w lublinie

partnerów. Bardziej może przyziemną przyczynę stanowił fakt, iż Rilke nie był w stanie zapewnić żonie i córce utrzymania ani na stanowisku urzędnika, ani poprzez karierę dziennikarską. Dziennikarstwo przejmowało Rilkego wręcz lekko; nie umiał, jak pisał, sprostać nieustannej konieczności chwytania wydarzeń epoki na gorąco i dostosowywania się do jej wymagań. Trzymam się z dala od naszych czasów, nie potrafię brać w nich udziału — to nader trafna charakterystyka wczesnego etapu twórczości poety.

Rainer Maria Rilke stara się kroczyć własną, niełatwą drogą, w pięknie przyrody i dzieł sztuki szukając schronienia przed codziennymi, nieznośnymi problemami i trudnościami życiowymi. Liczne podróże przyczyniają się do ostatecznego ukształtowania profilu artystycznego poety. W towarzystwie przyjaciółki, córki rosyjskiego generała, uczennicy Nietzschego i Freuda, Lou Andreas-

ich niewatpliwe zwycięstwo w przyszłości. W dobie obumierania ostatnich mieszczańskich, humanistycznych ideałów i gloryfikowania dochodzącej do władzy bogatej elity społeczeństwa, tym cenniejsze, choć może nieporadne i naiwne, ale zdecydowane i świadome było odcięcie się Rilkego od konserwatywnej postawy niektórych ówczesnych niemieckich intelektualistów.

Po krótkim pobycie we Włoszech i Szwecji obiera Rilke Francję za miejsce swego stałego schronienia w latach 1902 do 1914. Stąd wyjeżdża na krótko do Egiptu, Hiszpanii i Niemiec, zawsze jednak powraca do Paryża, który staje się dlań ojczyzną z wyboru, jak pisał bazy jego woli tworzenia. Rzeźby Rodina, którego był przez pewien czas sekretarzem, wystawy nowoczesnego malarstwa, przede wszystkim Cézanne, „zamerykanizowany” styl życia metropolii, kontrasty społeczne, samotność jednostki wśród milio-

kuje przecież coś więcej, aniżeli tylko grę ruchów zamkniętego w klatce zwierzęcia. Drogą kontrastu pomiędzy pierwotnym pięknem i siłą pantery a jej krańcowym załamaniem i zmeczeniem przybliża poeta czytelnikowi obraz psychiki czworonożnego węża i wywołuje nie tylko estetyczne, ale i moralne przeżycia i wzruszenia.

Kolejne dzieło, pisane eksperymentalną jak na owe czasy prozą „Pamiętniki Maltego Laurids Brigge” („Aufzeichnungen des Malte-Laurids Brigge”, 1910), to świadectwo pewnego kryzysu duchowego pod wpływem filozofii Kierkegaarda. Zasadniczym problemem utworu czyni autor wieczny lęk bohatera, młodego ekskluzywnego duńskiego poety i jego całkowite zagubienie w anonimowej społeczności wielkiego miasta. Paryż jawi mu się przede wszystkim jako siedziba przytułków i szpitali, wypełnionych jednostkowymi bytami ludzkimi:

nich chwil istnienia i przysłaniać majestatu śmierci:  
*Śmierć jest wielka,  
 Ze śmiejącymi się ustami  
 należymy do niej.  
 Kiedy sądzimy, że jesteśmy w środku życia,*  
 ona śmie płakać  
 w środku nas.

(tłum. J. Przyboś).

W „Pamiętnikach” dochodzi do głosu również wiecznie aktualny w całej twórczości Rilkego, a tu szczególnie uprzywilejowany motyw wszechwładnej i wszechobjmującej miłości. W oparciu o własne obserwacje i doświadczenia, poeta widzi niebezpieczeństwo spłycenia i zubożenia, wręcz zniweczenia tego uczucia w „strywalizowanym” mieszczańskim społeczeństwie. Stąd żarliwa pochwała idealnej, niespełnionej miłości, stąd przy pomocy wspaniałych poetyckich dygresji nakreślone postacie nieszczęśliwie miłujących kobiet na przestrzeni dziejów.

Do obsesyjnego tematu miłości i śmierci powrócił Rilke w Szwajcarii, po przeżyciach pierwszej wojny światowej i przezwycięzeniu kryzysu twórczego, w powstałej pod wpływem wierszy Hölderlina i wydanej w 1923 r. poetyckiej summie filozoficznej pt. „Elegie Duinezyjskie”. W tych niełatwych, wręcz hermetycznych, mistycznych poezjach zmagają się, świadomy bliskiej śmierci, z własną skomplikowaną egzystencją i z sensem ludzkiego istnienia. Język poetycki „Elegii” i wieńczących dojrzałą twórczość Rilkego „Sonetów do Orfeusza” (1923) osiąga bogactwem i dynamiką obrazów oraz melodyjnością wiersza pokrewne francuskim symbolistom i niespotykane dotąd w niemieckiej poezji wyżyny harmonii słownej.

*Śpiew — jak ty uczysz — to nie jest  
 żar pragnień,  
 nie poryw — ku jeszcze dosiężnym  
 brzegom.*

*Śpiew — to istnienie.*

(tłum. J. Przyboś).

Antyczny bohater „Sonetów”, Orfeusz, obłaskawiał śpiewem dzikie bestie i poruszał dźwiękami swej liry potężne skały. Idąc za jego wzorem, zdołał Rilke mocą wielkiej poezji, osiągniętej uporczywą i niezmordowaną pracą nad własną osobowością twórczą, odnaleźć i przekazać czytelnikom niezachwianą wiarę w sens ludzkiego istnienia i jego — mimo cierpienia i śmierci — radosną akceptację.

## MINIONEJ EPOKI

Bożena Kowalowa

Salomé, w latach 1899 i 1900 przebywała w Rosji, zachwyca się przyrodą i obrzędami ludowymi, gości u podziwianego przez siebie Lwa Tolstoję w Jasnej Polanie. To nader ważne dla Rilkego zetknięcie się z rosyjską kulturą zachęciło go do studiów nad językiem i literaturą tego kraju, do przetłumaczenia kilku utworów Czechowa i chłopskiego poety Spiridona Drożina, a nawet do napisania sześciu własnych liryków w ojczystym języku Tolstoję. Dalszym efektem podróży do Rosji stał się owiany utopijnym romantyzmem impresjonistyczny zbiór wierszy szczególnej urody pt. „Księga godzin” („Das Stundenbuch”, 1905). W kunsztownych strofach hymnicznych wyraził tu autor wiarę w nadejście upragnionej przez ludzką erę prawdziwego braterstwa. Nie usiłując dokładnie precyzować oczekiwanych przemian społecznych, wiersze Rilkego obejmują ciepłą sympatią chorych i ubogich, głosząc

nów mieszkańców, to wszystko dostarczało pocieję wrażeń i przeżyć, rzutujących na dalszą fazę jego twórczości. Ukoronowaniem tego własnego etapu są „Nowe poezje” („Neue Gedichte”, 1907), gdzie Rilke pragnie dotrzeć do najgłębszej treści, do istoty „rzeczy” — tzn. zwierząt i roślin, i zamknąć ją w zwartych strofach, podobnych dziełom sztuki rzeźbiarskiej. W słynnym „Requiem” z 1908 r. (w przekładzie M. Jastruna) formułuje Rilke ideę stworzenia bezosobowej, obiektywnej, „plastycznej” poezji:  
*O, stare przekleństwo poetów,  
 którzy się skarżą, gdy mówię*

*co osądzają zawsze swe uczucia,  
 miast je oblekać w kształt...*

Wyrobiony smak i prawdziwa kultura pisarska nie pozwoliły jednakże Rilkemu zasklepić się na dłuższy czas w wyrafinowanym estetyzmie. Programowy utwór jego „poezji rzeczy” — „Pantera” (1907) u-

kalekami, obłąkanymi i niedzarcami, do których upodobnił go nielaskawy los. Obraz fizycznej i psychicznej nędzy ludzkiej jest w tej powieści — pamiętniku tak realny i sugestywny, iż zdołał obudzić zainteresowanie nie tylko krytyków literackich ale i fachowej prasy medycznej. Chłorbliwie wyolbrzymione uczucie stałego zagrożenia, świadczące o wpływie na autora hasel wczesnego egzystencjalizmu, są tu organicznie powiązane z fascynującym Rilkego motywem śmierci. Temat ten występuje w powieści zarówno w przekroju historycznym (opis śmierci przedstawicieli rodów książęcych), jak i w odniesieniu do oczekującego na nieuchronny koniec nieuleczalnie chorego bohatera powieści. Szesnaście lat później, drogą jakiejś tragicznej analogii, podobnie będzie konać na białaczkę sam Rilke, nie chcąc środkami zniezulającymi łagodzić gorzkiej intensywności ostat-



Fot. A. Polakowski

## POJEDYNEK

Krzysztof Pacuski

**C**ALY ten gaj stoi tutaj jak wymyślony jankiś. Drzewa są kształtne, liściaste, nieprawdziwe; krzaki wypukłe, jakby wymalowane kredką i w ogóle wszystko to wygląda jak taki poprawny akwarelowy obrazek, który się wieszka w słonecznym pokoju. Trawa nie jest przecież nigdy taka zielona i jednolita, a drzewa brązowe jak blat stołu. Autentyczna murawa musi być szara, zmierzwiiona jak włosy na podbrzuszu i prześwitująca miejscami nagą ziemią, bo inaczej to naprawdę trudno się polapać, czy jesteśmy tu na prawdziwej zarośniętej gęsto lipami i krzewem agrestu słonecznej polance, czy też patrzymy tylko na jakąś nędzną, pastelową ilustrację do literackiego opisu.

Jest piąta po południu. Pierwszą falę upału diabli już wzięli chyba przed godziną, chociaż na słońcu czuje się jeszcze jej potworny ciężar.

Jest cisza. Regulując słuch na bardziej analityczny odbiór, można by nawet usłyszeć ptasi jazgot, a może także jakieś cholerne brzęczenie pszczół, czy coś w tym rodzaju.

Na środku polanki leży zwalone drzewo, którego świeża jeszcze korona przepadła gdzieś w agresję i z pewnością wybiega poza szmaragdowy pierścień lip. Naprzeciwko w krzakach leży stary, przewrócony ul, różowy jak ciało. Po prawej stronie biegnie wyprowadzająca ścieżka — biała, wyschnięta wstęga ubitego kurzu mająca wśród trawy i obiecująca jak widmo.

Idą. Przytuleni do siebie ciasno, kroczą powoli z niecierpliwością charakterystyczną dla takich właśnie popołudniowych par. Są bardzo typowi: ona — niższa, blondynka, patrzy pod nogi z uśmiechem niezdecydowania; on obejmuje ją mocno, jakby bojąc się, aby mu za chwilę nie uciekła, udaje opanowanie. Zbliżają się. Ona jest w okularach. Chichocze niepewnie, przekrzywiając głowę.

— Ja i tak będę pierwsza, więc możemy spłóbować.

Puszczają się biegiem w stronę zwalonego drzewa, zachłystując się śmiechem i leniwym polnym wiatrem. On stara się biec tuż za nią. Udaje, że chce schwycić jej włosy, lecz ona mu się wymyka i pierwsza dopada lipy.

Rzucają się na ziemię wspierając plecy o przewalony pień. Obejmuje ją beztrzęsio ramieniem patrząc w niebo. Czuje dyszącą tuż obok i z pewnością zastanawia się — czy już czas, czy może jeszcze trochę poczekać smakując chwilę do końca, do granic wytrzymałości. Na krótko zasłaniają ich gałęzie drzewa podniecone wiatrem, którego wyczekujące milczenie stawało się już dla całej okolicy nie do zniesienia. Prawa część polanki wraz z kawałkiem białej ścieżki nasiąka natychmiast cieniem średniej wielkości stratocumulusa, który wpływa dostojnie nad niecierpliwie głowy naszych bohaterów.

— Ktoś tam jest — dziewczyna rzuca lekki wzrok za siebie, mrużąc oczy i odruchowo wtulając rękę między brązowe uda.

Jego usta są jednak szybsze niż strach. Zbiegają przedko, niesprawne ciagle i obce, wzdłuż twarzy, zatrzymują się i przywierają mocno tuż pod brodą, gdzie skóra delikatniejsza i czulsza gra drobny pulsem wstrzymany oddechu.

Jej ręce zastygają na moment w polowie gestu — niepewne jeszcze na tyle, aby objąć, zdecydowane jednak nie odpychać.

Dokończenie na str. 12

Kamena str. 11

**Waldemar Piasecki:** — Problem śmierci od wieków nurtował myślicieli, ale także i „zwykłych” ludzi. Poglądy z nią związane zmieniały się wraz z przemianami okresów kulturowych, ale przez wiele lat był to temat tabu, będący tylko bodźcem do osobistej refleksji nad przemijaniem. Skąd dziś to nagłe, niemal publiczne zainteresowanie?

**Tadeusz Kielanowski:** — Specyfika XX wieku sprawiła, że tematy tabu, wstydlive, dziś już praktycznie nie istnieją. Dyskutuje się obecnie wiele tematów z różnych dziedzin wiedzy, zagadnień teoretycznych i spraw z pogranicza teorii i praktyki, ale mimo to niedosyt wiedzy jest bardziej niż dawniej odczuwalny. Dotyczy to również zagadnień, o których mamy rozmawiać.

**W. P.:** — Wielu utrzymuje, że dyskusowanie spraw tak oczywistych, jak zagadnienia życia i śmierci, jest sztuką dla sztuki.

**T. K.:** — Duży błąd. Prawdą jest, że na pytania zbyt ogólnikowe nie da się odpowiedzieć, ale nie zwalnia to od stawiania pytań cząstkowych i zajmowania wobec nich określonego stanowiska oraz postępowania w zgodzie z nim.

**W. P.:** — Czym więc jest śmierć? Czy jest to tylko brak życia, a jeśli tak, to czym ono jest? Czy tylko akcją serca? Ostatnio wiele mówi się o tzw. śmierci psychologicznej, czymś zupełnie różnym od śmierci fizjologicznej.

**T. K.:** — Jestem tylko lekarzem. Dla mnie, podobnie jak dla całego niemal świata medycznego (zgadzam się z decyzją Francuskiej Akademii Nauk Medycznych), człowiek żyje, dopóki żyje jego mózg. Jeżeli bowiem funkcjonuje mózg, istnieje szansa, że istnieje także świadomość.

**W. P.:** — Są chyba jednak jakieś granice.

**T. K.:** — Zgadzam się. Mózg ludzki to niezupełnie to samo, co człowiek, bo jest to tylko narząd ludzki. Część pewnej całości. Stan techniczny dzisiejszej medycyny pozwala sztucznie utrzymywać krążenie krwi w samym tylko mózgu. Robiono takie eksperymenty na kotach. Mózg żył, ale był tylko preparatem. Łatwo przeprowadzić analogię do mózgu ludzkiego.

# THANATOS



## ROZMOWA Z PROF. TADEUSZEM KIELANOWSKIM

Gdyby zrobić przy pomocy aparatury coś podobnego, też nie byłby to człowiek lecz preparat. A przecież człowiek nie jest zdolny tylko do przyjmowania bodźców i wrażeń ze świata zewnętrznego, ale także do reagowania na nie w sposób różnorodny i niezwykle złożony, czego najpełniejszym odzwierciedleniem jest mowa ludzka i jej symbole.

**W. P.:** — W tym momencie może nasunąć się pytanie o definicję samego człowieka.

**T. K.:** — Odczuwamy dziś bardziej niż kiedykolwiek potrzebę zrozumienia kim jesteśmy. Wszelkie definicje biologiczne i filozoficzne zawodzą. Filozofowie nie chcą zresztą w ogóle dyskutować na ten temat choć nie idzie wcale o definicje pryncypialne,

wieczne i dogmatyczne, ale o wskazania pragmatyczne, którymi np. lekarz mógłby posługiwać się w swojej pracy.

**W. P.:** — Czy ma to oznaczać, że lekarzowi przestało być wystarczającą przysięgą Hipokratesa?

**T. K.:** — Dzień dzisiejszy stawia przed lekarzem problemy zupełnie różne od tych, jakie miał on jeszcze kilkadziesiąt lat temu. O ogromny postęp wiedzy sprawił, że potrafimy leczyć choroby dawniej zupełnie bezнадziejne i nieuleczalne. Nieporównywalnie większe są możliwości reanimacyjne i często można spotkać się ze stwierdzeniem, że człowiek nie umiera wtedy, kiedy gasną jego siły, ale wówczas, gdy lekarz zaprzestaje działalności reanimacyjnej. Le-

karz tak jak dawniej obowiązany jest i chce przedłużyć życie ludzkie, nie powstaje dziś często dylemat przedłużania życia istoty, która nie posiada życia psychicznego i świadomości, a egzystuje dzięki nowoczesnej aparaturze reanimacyjnej. Dlatego właśnie lekarz chce poznać racjonalną motywację takiego a nie innego postępowania wobec istoty, których człowieczeństwo nie wynika bezpośrednio i w sposób oczywisty ani z faktu utrzymującej się akcji serca, czy nawet pewnych rejestrowanych przy pomocy elektroencefalografu impulsów bioelektrycznych w mózgu.

**W. P.:** — Jednym słowem problem znany szerokiej opinii jako „casus Quinlan”, dziewczyny, która po spożyciu dużej ilości alkoholu i barbituratów utraciła w kwietniu 1975 r. przytomność i utrzymywana jest przy życiu w sposób sztuczny. Rodzice domagają się położenia kresu „życiu” córki, na co nie chcą się zgodzić lekarze.

**T. K.:** — Tak. Jest to jednak przypadek szczególny. Obok zagadnień tego typu często spotykamy się z problemem przedśmiertnych cierpień chorego. Zdecydowana większość umierających pragnie żyć, ale są również tacy, którzy proszą, aby dać im umrzeć, zaprzestać zabiegów, dzięki którym przedłuża się im życie, ale i cierpienia. Uważam, że w takich przypadkach nie wolno nam wkroczać. Jeżeli osoba bardzo stara i nieuleczalnie chora, albo tylko bardzo stara, albo tylko nieuleczalnie chora, naprawdę nie chce żyć, należy uszanować jej wolę.

**W. P.:** — Raz jeszcze powrócę do przypadku Karen Ann Quinlan. Mimo wyjątkowości przypadki takie zdarzają się i będą zdarzać. Jak postępować wówczas?

**T. K.:** — Trzeba osoby takie doliczyć do tych, które chcą nadal żyć. I to bez względu na to, co stało się przyczyną utraty świadomości.

**W. P.:** — Czy nie sądzi Pan Profesor, że sytuacja lekarza, który dowiadyuje się, że jego pacjent pragnie zaprzestania zabiegów leczniczych i w konsekwencji śmierci, jest dwuznaczna z moralno-etycznego punktu widzenia?

# POJEDYNEK

Dokończenie ze str. 11

— Tam, tam... — urywane słowa stają się środkiem rozbrajającym groźbę sytuacji.

— ...zobacz, proszę cię, ktoś na pewno... zobacz. Teraz i jego ogarnia lęk. Uspokaja ją ochryplym głosem dzieląc słowa między pocałunki. Wkrótce jednak sam podnosi głowę.

— Ewo, Ewo — ty masz chyba za dużą wyobraźnię jak na swój wiek.

Dziewczyna wysuwa się szybko z jego ramion i po chwili oboje z uwagą penetrują wzrokiem pobliski gąszcz.

— Tam na pewno ktoś był, ktoś straszny, inteligentny i bystry, jak nie wiem co.

— Dziecko...

— Ale ja wiem. Czulałam jak patrzył na nas, jak notował w pamięci każdy nasz ruch i każde słowo.

— Czy to był człowiek? — chłopak obejmuje ją znowu starając się półfałtem żartem usprawiedliwić swoją natargowość.

— Puść, puść! — krzyknęła histerycznie. — Czy ty nie rozumiesz, że ktoś tam siedzi w krzakach i patrzy na nas? Ktoś komentuje w myślach każdy nasz gest, kieruje nami. Jesteśmy po prostu bohaterami jego opowiadania. On nas tworzy, wymyśla, stawia w sytuacji, w której jesteśmy teraz, w której musimy mu być posłuszni i robić wszystko to, co jemu się podoba. Dlaczego, powiedz, dlaczego przyszliśmy właśnie tutaj?

Przycisnęła dłoń do twarzy odsuwając się z lekkiem od czegoś niewiadomego, co otoczyło ją nagle i skrepiowało, nie dając nawet pomyśleć o najprostszym ruchu dłoni, o przymknięciu oczu.

— A więc on jest pisarzem? — nieśmiało pytanie tym razem zabrzmiało poważnie.

— Tak, tak, on jest pisarzem obiektywnym, zimnym narratorem, który wymyślił całą tę polankę i nas, i twoje włosy i porusza tym wszystkim sprawny i zadufany, skryty za obojętnym komentarzem w rodzaju: powiedział, powiedziała, odwróciła się, odparł...

— Ale my, my musimy wyrwać się, odepchnąć od siebie wszystkie te porównania i epitety, jakimi nas obdarzył, bo przecież my żyjemy własnym,

niezależnym życiem. Nie wolno mu zaprogramować nikogo, zamknąć w ciasny schemat. To, że ja na przykład mam wygląd dziwki, a ty przypominasz sfrustrowanego intelektualistę, będzie nas prześladowało do końca, bo on już tak sobie pomyślał i w ten sposób nas opisał. Czy nie czujesz tego, że gdy teraz zapalisz papierosa, to on przytaczając to zdarzenie skomentuje je zaraz tak, że określenie to zaciąży na twoich dalszych czynach? Na przykład napisze: zaciągnął się, jakby przez dłuższą chwilę przebywał pod wodą, zaś oczy jego wyrażały obojętność, jaką powoduje myśl, zawsze jednakowo towarzysząca tej czynności. I od tej pory, mój drogi, zawsze już będziesz dla niego ten sam: mały, prymitywny kretyn, o bezmyślnych i mechanicznych ruchach.

Na twarzy chłopaka malowały się kolejno: powaga, troska i strach. Nie rozumiał na pewno i nie czuł tego wszystkiego, o czym mówiła Ewa, jednak podświadomie orientował się, że coś tu nie jest w porządku. Zapomniał już o jej ciele i o własnych marzeniach, było mu głupio, wyczuwał bowiem jej intelektualną przewagę i nie wiedział już, czy jest ona po prostu nienormalna, czy też próbuje sobie w wyrafinowany sposób najwyraźniej zakpić z niego.

— No dobrze, moja droga — rzekł wreszcie z rozmysłem — ale to, co ty teraz mówisz, on przecież notuje i komentuje jak mu się podoba. A nawet — trzymając się ściśle tego, co mówiłaś — sam z premedytacją wkłada ci w usta ten pozbawiony przecież sensu, głupi wywód.

— Dlatego też powinniśmy walczyć — podjęła ogarnięta nową historyczną myślą — dlatego musimy skłonić go, aby odkrył karty, aby wyszedł z krzaków i dał się skompromitować. — W jej twarzy pojawiła się teraz rozpacz kontrastująca wyraźnie z jej dziecinnymi piąstkami zaciśniętymi znowu aż do białości.

— Ale to przecież niemożliwe, to bezsens — poruszył się chłopak. — On ma nad nami tę małą przewagę, że wymyślił nas, stworzył, a teraz wpuszczał bezradnych i samotnych na tę dziwną polankę i z sadystycznym uśmiechem przygląda się naszym beznadziejnym próbom skompromitowania go. Czy jest w ogóle o co walczyć?

Nad polankę nadszedł tymczasem potężna, czarna chmura, groźna i nieunikniona jak grzech, zwiastująca cierpienie, rozpacz i śmierć. Ten sam strach, który kiedyś tam, dawno temu, zmusił

pierwszego człowieka do podniesienia się z zimnej ziemi, przeniknął teraz całą przyrodę do szpiku nadziej. Zbliżyła się burza.

Bohaterowie nasi rozbudzeni nagle przeciągnęli grzmotem, spojrzeli w ciemne niebo jak ptaki zgadujące jesienną porę odlotu. Wiedzieli już chyba, że nic, co żywe na tej nieudanej polance, nie uniknie okrutnego przeznaczenia, że taki jest w końcu los wymyślonych drzew, chmur i ptaków. Tak, nie ma na to rady. Oto zbliżyła się chwila, kiedy autor zemści się na swym dziele. Powali sztuczne drzewa, unicestwi bohaterów, aż wreszcie podrze i rozsypie na wietrze zapisane koślawym pismem kartki opowiadania doprowadzonego po raz pierwszy do autentycznego, bo tragicznego przecięcia finału. Ona odżywa się pierwsza:

— Adamie, boję się, on wymyślił całą tę burzę, aby nas zniszczyć. On jest nieobliczalny. — Usta jej drżą, a ręce wykonują w powietrzu jeden błędny motyw, który podnieca jej panikę.

— Nie, dziecko — Adam wstał wyciągając rękę w kierunku dziewczyny. — Teraz znam już narzeczenie prawdę, wiem tak jak i on, że to wszystko jest źle napisane. Jego koncepcja poniosła klęskę, a on sam już nigdy w życiu nie weźmie do ręki pióra z zamiarem tworzenia. Bo powiedz, czy nie wydaje się śmieszne narzucanie maski wymyślnym postaciom? Czy to nie jest wymuszone i sztuczne? Spójrz tylko na tę tandetną łękę. On już nie panuje nad tym wszystkim. Zapomniał o burzy, o deszczu i na dowód swej klęski pozwala mi nawet bezkarnie mówić o sobie jak gdyby nigdy nic. Uciekliśmy po prostu spod jego kontroli. Jesteśmy wolni. Nie jesteśmy już fikcyjnymi postaciami. Teraz my możemy tworzyć i niszczyć, rodzić i zabijać.

Adam rozejrzył się wkoło triumfującym wzrokiem, szukając czegoś ukrytego — a może lepiej — zgubionego w krzakach, czy w trawie, która jakby na potwierdzenie jego słów przypomniawszy znowu zielony, prymitywny kobierzec z góralskiego kiczu.

Gwałtowny deszcz lunął nagle i bez uprzedzenia, matową ścianą łącząc nieruchomą ziemię ze wzburzonym jak ocean niebem. Błyskawica niczym anielski miecz rozcięła przestrzeń, na jeden ułamek chwili zbliżając do oczu poczerwiałe drzewa, mokrą wstęgę drogi i przewrócony ul, różowy jak dygocące ciało.

Pierwszy piorun rozplątał na dwoje lekliwą, młodą lipę, kładąc ją krzyżem na powalonym wcześniej drzewie.

Naszych bohaterów od dawna nie ma już na zielonej polance. Tylko gdzieś tam daleko, w niewiadomym miejscu, gdzie przypadli razem chociaż i zaczepiając się nawzajem, zabłysnął na moment nagi skrawek błękitu — nie niosąc nikomu pocieszenia, nie zwiastując słońca.

# Szczęśliwa trzynastka

T. K.: — Jest to problem niezwykle istotny. Chodzi bowiem o odpowiedź na pytanie, gdzie leży granica, której lekarzowi w dziele niesienia pomocy choremu nie wolno przekroczyć dla wspólnego dobra? Granicą tą jest zadawanie choremu śmierci, bo jest człowiekowi wolno dysponować życiem swoim, a nie cudzym. A lekarz jest przede wszystkim człowiekiem.

W. P.: — Jest więc Pan przeciwnikiem eutanazji?

T. K.: — Oczywiście, jak zresztą większość moich kolegów. Uważam, że czynna eutanazja, czyli zabijanie chorego na jego życzenie, jest absolutnie nie do przyjęcia. Wie pan, miałem w swojej praktyce pewien przypadek, który do dziś nie daje mi spokoju. W 1942 roku przebywałem we Lwowie, gdzie pracowałem jako lekarz w szpitalu. Pewnego dnia przyszła do mnie Żydówka i poprosiła o danie jej trucizny, ponieważ nie chciała zginąć z rąk Niemców; proponowała w zamian garść złota. Trucizny nie dałem ale poradziłem jej, aby w każdej aptece kupowała po kilka pastylek od bólu głowy i potem je zażyła. Nie wiem, co się z nią stało. Świadomość jednak, że pokazałem jej drogę, pozostała. Stąd i moje wahanie, czy tak właśnie postąpić należało. Doktrynerzy twierdzą, że w sytuacji o jednym, konkretnym rozwiązaniu. Najlepszym i jedynym. Ale tylko oni tak twierdzą.

W. P.: — Wiele zostało już powiedziane o prawie człowieka chorego do decydowania o swoim życiu. Wydaje się jednak, że często lekarz odmawia mu tego fundamentalnego prawa, nie informując o rzeczywistym stanie zdrowia samego zainteresowanego, a rodzinę.

T. K.: — Człowiekowi nieuleczalnie choremu lekarz powinien służyć także zrozumieniem i pocieszeniem. Mówienie mu prawdy nie jest na pewno sprzeczne z nakazem pocieszenia, bo prawda lekarska nigdy nie jest kategoryczna; ślad nadziei istnieje zawsze.

W. P.: — Często mówi się, że śmierć jest o wiele mniej straszna niż myśl o niej.

T. K.: — To prawda. Staramy się nie myśleć o śmierci, bo się jej boimy. Takie są prawa przyrody. Boją się śmierci także zwierzęta, a nawet,

jak twierdzą niektórzy naukowcy — rośliny. Strach przed śmiercią potęguje naiwną wiarę we wszechpotęgę wiedzy medycznej, w możliwości wyleczenia każdej choroby. Kiedy medycyna zawodzi, wielu odwołuje się do pomocy sił „wzwyż”.

Nawet jednak najszczerza wiara w nieśmiertelność duszy nie chroni przed strachem, a jest co najwyżej rodzajem pociechy. Należy się więc zastanowić, czy w XX wieku, erze racjonalizmu i wyzwalań się z przesądów, nie trzeba by pogodzić się z nieuchronnością śmierci i dażyć do odebrania jej choć części grozy.

W. P.: — Temu celowi miała służyć zorganizowana w tym roku przez Pana Profesora i krajową konferencję lekarzy i humanistów na temat śmierci. Jakie korzyści przyniosła?

T. K. Bardzo duże. Wypowiedziało się wielu przedstawicieli różnych dziedzin wiedzy, przedstawiając różnorodne aspekty zagadnienia śmierci. Duże wrażenie wywarło wystąpienie profesora Zdzisława Cackowskiego, który przedstawił koncepcję życia ludzkiego jako węzła jednostki z innymi ludźmi i rozróżnił pojęcia „odchodzenia” (od rzeczy obojętnej) i „rozstawania” (zrywania owych tworzonej i przeżywaną przez człowieka więzi). W myśl tej koncepcji umieranie byłoby organicznie sprzężone z życiem jego odwrotnością. A oto dwa główne wnioski z konferencji: nie da się zlikwidować grozy śmierci, ani jej samej; można zrobić bardzo wiele, aby grozy śmierci nie zwiększać, jak również nie zwiększać cierpień umierających i ich rodzin.

W. P.: Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:

Waldemar J. Piasecki

Prof. Tadeusz Kielanowski jest lekarzem, członkiem wielu polskich i zagranicznych towarzystw naukowych (m. in. Francuskiej Akademii Nauk Medycznych). W 1944 roku był współzałożycielem dziekanem i rektorem UMCS, później założycielem i organizatorem AM w Białymstoku. Jest doktorem honoris causa AM w Lublinie i Białymstoku. Ostatnimi pracami profesora są rozprawy z pogranicza filozofii i medycyny: m. in. „Rozmyślenia o orzeczniaku”; w przygotowaniu „Etika i deontologia lekarska” pod jego redakcją. W 1966 r. założył w Gdańsku pierwszy w Polsce nie lekarski telefon zaufania: „Anonimowy przyjaciel”.

## Piotr Tadeusz Rakowski anons

poszukuję niekrępującego konfesjonu serca dla poety przed trzydziestką nie palącego przed snem w wizytowym ubraniu skrojonym na miarę epoki

może być komfort łazienka na poddaszu kran z ciepłą wodą na kąpiele gardła cena w ratach regularnie z wierzem

poszukuję papieru maszynowego przedniej marki no margines wiersza może być listowy lub pergaminowy na kalkę nocy w nocy bowiem mam dużo do powiedzenia pyzatomu księżycowi i kotom przejącym grzbiot przed podróżą

poszukuję adresu twojej miłości

### BARAN 21 III - 18 IV

Można to nazwać ryzykiem. Wprawdzie zwykle się mówi, że kto ryzykuje, ten nie traci, ale w twoim wypadku sprawa wygląda inaczej. Musisz się dobrze zastanowić. Nie pail się, jest sporo czasu do namysłu. Konsekwencje nieprzemysłanej decyzji byłyby poważne, w danym wypadku chodzi przecież nie tylko o ciebie.

### BYK 19 IV - 20 V

Wyjazd, który teraz dochodzi do skutku może stanowić w twoim życiu coś więcej niż ci się zdaje. Stoisz przed dużą szansą i tylko od ciebie zależy, tak ją wykorzystasz. Stosunki domowe ułożą się pomysłnie, ale nie należy przeciągać struny. Straciłeś zaufanie i nielatowo przyjdzie ci je odzyskać.

### BLIŹNIĘTA 21 V - 20 VI

Nie ma złego, które by nie wyszło na dobre. Twoja pozycja u macocha, dziadka z wielokrotnym namysłem i to przynosi rezultaty. Pamiętaj jednak nadal, że nie należy się opierać. Już zbyt wiele błędów popełniłeś w swoim życiu nie naukami nad nerwami. Zastanów się, czy nie przydałby ci się teraz choć krótki urlop.

### RAK 21 VI - 22 VII

Niepotrzebnie naraziłeś się. Długo ci to będzie pamiętać. Na szczęście twoje osobiste sprawy układają się wreszcie znakomicie. To czego tak oczekiwałeś, masz wreszcie. Staraj się należycie wykorzystać sytuację.

### LEW 23 VII - 22 VIII

Nie jest to wszystko wesołe, ale w tej sytuacji przynajmniej ty powinieneś się umieć znaleźć. Jeśli obie strony będą sobie robiły na złość, nie z tego dobrego nie wyniknie. Nie należyś do ludzi, którzy umieją przebaczać i dlatego nie jest ci w życiu zbyt łatwo. Jedyne, co dobre, to praca. Masz tutaj sporo sukcesy. Być tak dalej!

### PANNA 23 VIII - 22 IX

Wszystko pójdziesz swoim nierozsądnym postępowaniem. O-

# HOROSKOPY

Ważne od dnia 10 do 24 I 1977

strzegano cię już niejednokrotnie, niestety, rezultatów nie widać. Tłumaczenie się poirytowaniem, nerwami etc. nikomu nie trafia do przekonania. Za powstałe skutki tylko siebie będziesz mógł obwiniać.

### WAGA 23 IX - 22 X

Osoby spod znaku „Wagi”, które uczęszają do szkoły, powinny bardziej solidnie wpaść się do nauki a zwłaszcza zająć się matematyką. Lekceważenie obowiązków może zemścić się i to już wkrótce. Dorobli urodzeni pod tym znakiem też mają swoje kłopoty przede wszystkim w pracy, a wina leży głównie po ich stronie. Należy się bardziej skoncentrować.

### SKORPION 23 X - 21 XI

Dobrze i byle tak dalej! Przeżywasz niezły okres swego życia ustarkowałeś się nareszcie

i nie jesteś już tak uparty, jak przedtem. Musisz pamiętać, że żyjesz wśród ludzi, którzy też mają swoje ambicje i swoje... zdanie. Jeśli nie będziesz zachowywał się zbyt apodyktycznie, zawsze znajdziesz z nimi wspólny język. A o to przecież chodzi.

### STRZELEC 22 XI - 21 XII

Z awansu, przynajmniej na razie, nie nie wyszło. Niepotrzebnie się jednak irytujesz, gdyż wina leży wyłącznie po twojej stronie. Nie wszystko jednak stracone. Jeden warunek: musisz zmienić swoje następowanie. To samo odnosi się i do spraw jak najbardziej osobistych. Masz osobę, dla której jesteś szczególnie bliski. Nie dostrzegasz tego i nawet nie wiesz jak wiele tracisz.

### KOZIOROŻEC 22 XII - 20 I

Bliska ci osoba ma wiele kłopotów. Jeśli możesz — staraj się

U PRAWIAŁEM nigdyś reportaż, wiem jaka to trudna sztuka. Czytałem ich również tyle, że określenie ich ilości jest po prostu niemożliwe. W każdym bądź razie w latach trzydziestych smakowałem reportaże niestrudzonego globrottera Egona Erwina Kische, podniecałem się reportażami Ksawerego Pruszyńskiego z walczonej Hiszpanii i zachłystywałem takimi utworami Melchiora Wańkiewicza z Mazur i terenów COP, z których potem powstały niesłychane książki — „Na tropach Smetki” i „Sztafeta”. Chyba dlatego właśnie przed laty z zapalem próbowałem swe pióro w tej właśnie dziedzinie publicystycznej twórczości. Po dzień dzisiejszy też zostało mi dla niej wierce zainteresowanie.

Z tej niewątpliwie przyczyny bez ociągania się sięgnąłem po książkę „Górnice przedwojnie”\*, świeżo wydana nakładem Wydawnictwa Lubelskiego. Składa się na nią 13 reportaży pióra lubelskich i warszawskich publicystów plus przedmowa znanego wszystkim Jacka Maziarzkiego. Reportaże są w większości plonem konkursu zorganizowanego w ubiegłym roku na temat Lubelskiego Zagłębia Węglowego.

Jako się rzekło — czytałem reportaży „ad libitum”, a tego rodzaju doświadczenie zdeprawuje każdego odbiorcę — czytelnika. Czyta się wtedy bez wstrząsów, ale za to ze stałą uwagą skupioną na ocenach konkursowego jury. Tenże celownik powoduje refleksje w rodzaju: czy Wojciecha Gielżyńskiego „Rodowód Bogdanki”, bo z takim znawstwem przedmiotu i dziennikarską swadą? czy Zbigniewa Miazgi „Pół kilometra w głąb ziemi — 220 metrów od węgla”, bo taki dociekliwy, rzeczowy i zreczy? czy właśnie Stanisława Harasimiuka „Jeden dzień inżyniera Ilczaka”, bo — jak zresztą zwykle u tego autora — taki niecodzienny? a może zamykający tom reportaży Ernesta Skalskiego „Górnice przedwojnie”, który tak przejrzysto przedstawia problemy dnia dzisiejszego i jutra budowy węglowego zagłębia? Który z nich faktycznie najlepszy?

Uzupełnijmy, że poza już wymienionymi, wiedzę tę dają nam: Wojciecha Adamińskiego — „Lubelski węgiel — kilka minut po starcie”, Roberta Jarockiego — „Węgiel w słoiku”, Anny Mańkowskiej — „O Bogdancę, o róż rwanu”, Henryka Pajaka — „Bezimienni z I-89”, Janusza Wszytko — „Bogdanki dni pierwsze” i Tadeusza Jasifskiego — „Pomacać wnętrze ziemi”. Z treścią ich reportaży świetnie koreluje rzeczowy, wyważony w treści i słowach wstęp Maziarzkiego.

Tu trzeba pogratulować edytorowi. Książka jest wydana starannie, okładka interesująca, fotografie dobre i powiązane z treścią (osobiście wolalbym je oglądać w tekście), papier dobrej klasy, nawet korekta w zasadzie bezbłędna. Może tylko lepiej byłoby dla całości układu otworzyć cały zbiór reportaży Gielżyńskiego, który wprowadza czytelnika w historyczną genezę przedmiotu. Na pewno zaś można było uniknąć 2 — 3 błędów w nazewnictwie miejscowości (np. Zauce powinno brzmieć: Załuce). Jednak te pretensje to mało ważne detale, które wracają do swego właściwego wymiaru natychmiast po uświadomieniu sobie faktu, że książka została wydana w od dawna nie spotykanym czasie 2 miesięcy! W sumie trzeba pogratulować organizatorom konkursu na reportaż o LZW oraz Wydawnictwu Lubelskiemu.

Czytelnikom zalecam, że wbrew spodziewaniu niejednego z nich „Górnice przedwojnie” czyta się z rzeczywistym zainteresowaniem, że ta książka po prostu wciąga. Pogratulowałbym tego sukcesu jej redaktorowi (om), ale niestety informacja wydawcy na ten temat milczy.

Leszek Siemion

\* „Górnice przedwojnie” — reportaż o Lubelskim Zagłębiu Węglowym. Wydawnictwo Lubelskie 1976, str. 210, nakład 5000 egzemplarzy, cena 20 zł.

Jej pomóc, bo dużo od ciebie zależy. A ta znajomość z dalekich stron, której nie możesz zapomnieć, to już tylko wspomnienie. Oczywiście można podtrzymywać korespondencje, ale zastanów się, czy warto? Teraz i tak nie masz żadnych możliwości, aby znowu tam pojechać i wcale nie zanosz się, że podobny wyjazd zdarzy ci się jeszcze w życiu.

### WODNIK 21 I - 18 II

Możesz być w pełni zadowolony. Wszystko ułożyło się dobrze i na horyzoncie żadnych chmur nie widać. Zastanów się jednak, co zrobić aby w przyszłości też dopisywało ci szczęście. Po musisz sobie otwarcie powiedzieć: final tej sprawy mógłby być zupełnie inny. Przysłowiowy lut szczęścia nie zawsze będzie cię ratować z...

### RYBY 19 II - 20 III

Za dużo bierzysz, z za mało dajesz z siebie. Oczywiście pomoc innych jest wskazana, ale tej pomocy nie można nadużywać, bo całkiem utracisz samodzielność. Ze spraw bardzo osobistych: spotkanie, na które czekasz, dojdzie wreszcie do skutku. Wyjazd zapowiada się bardzo interesująco.

Stella





